

DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK III. 15. GRUDNIA 1927. № 22.

Cicha noc, Święta noc...

Serce, duszo, stój!
Idzie Jezus mój,
Idzie Jezus sam.

Jako małe dziecię,
Zjawia się na świecie.
Przecież to Bóg sam!

Ubogo i zimno było w stajence. Cicha noc szerokim płaszem swoim otuliła tę maleńką grotę, która niedługo stać się miała przybytkiem Boga Najśw. Przeczysta Panienka klęczy zatopiona w głębokiej modlitwie, a Serce Jej wzbiera i potężnieje tęsknotą wieków całych i ostatnią błagalną pieśnią gasnącego Starego Przymierza: „Przyjdź“!...

Cicha noc, święta noc...

„Gdy bowiem wszystko było w spokojnem milczeniu, a noc w swym biegu pół drogi miała, Wszechmocne Słowo Twoje a nieba, a stolicy królewskiej w pośrodek straconej ziemi zstąpiło“ [1]). W miłosnym zachwycie klęczy Matka u stóp Syna i Boga Swego. W około Niej pełno światła i woni niebios, — tysiące Aniołów adoruje „Króla królów i Pana nad panującymi“ [2]), wysławiając Ojca niebieskiego, który „tak miłował świat, że Syna Swego jednorodzonego dał“ [3]).

Cicha noc, święta noc...

Klęknijmy i my w duchu przy żłóbku. Nie myślmy nic... i nie mówmy nic..., jeno oczyma duszy naszej patrzny w ten wielki cud, a serca nasze niech spoczną u maleńkich nóżek Pana w cichej, kornej miłości.

Cicha noc, święta noc... *A. L.*

[1]) Mądr. XVIII. 14, 15. [2]) Obj. XIX. 16. [3]) Jan. III. 16.

KOLĘDA.

Chór. Duet.

Gwiazdo złota, promienista
Gdzie prowadzisz gdzie?
„Do stajenki Jezu Chrysta
Chcesz zawiodę Cię“? } bis

Na cóż Tobie, cierpieć Boże?
Z Twoich jasnych nieb,
Iść pod nasze smętne zorze
Na nasz gorżki chleb? } bis

O mój Jezu, takiś mały
Ubożuchny tak,
Płaczesz z zimna drżący cały
Jak bez gnazdka ptak. } bis

Nasze bóle, nasze grzechy,
Nędzę naszych win
Dla ratunku i pociechy
Dźwiga Boży Syn. } bis

M. J.



PRZED PASTERKĄ.

(Dokończenie).

Świat zniknął z przed oczu zachwyconego, uniesionego w niebiosa chłopaka. Klęczał bez słowa wpatrzony. Ani zauważył kiedy światło się zaćmiło, rozwiały mgłą jasną postacie. Ale Dzieciątko uśpione zostało. — Spojrzy Jasiek, a Ono drży z zimna przez sen. Sinieje liczko maluchne od chłodu. Składają się już do płaczu w żałosną podkówkę usteczka. Trzęsą się maleńkie piąstki zaciśnięte tuż przy twarzy. — Patrzy się Jasiek i serce skowyczy w nim z żalu. Płacze dusza nad niedolą Boga. — A toć u mnie za pazuchą byłoby mu cieplej... myśli. Wyciąga ręce, ale nie śmie tknąć. Dyć że to sam Panjezus! Modli się z płaczem: darujże mnie niegodnemu, Paniczu niebieski, że Cię za moją dziurawą kapocinę poważam się wrazić... Jużci nie z pychy to czynię, jeno, że mróz bierze... Nie karz mnie Panie za śmiałość... Ujmuje ciałko maleńkie ostrożnie, lekko, układa na swej piersi pod zgrzebną koszulą. Okrywa z wierzchu kapotą, osłania rękami. Przenika go jasność, szczęście, nieznane, skrzydlate... Uleci chyba z swym skarbem do nieba...



Świat zniknął z przed oczu zachwyconego chłopaka.

Sam nie wiedział, wiele czasu stał tak, nie pomny na jakim jest świecie — gdy tuż za nim rozległy się kroki. Ksiądz starowina, szedł sprawdzić, czy Jasełka ustawione są w kościele, jak się patrzy. Zawrócił od drzwi zakrystji, ujrzawszy stojącego przed głównem wejściem chłopaka i podszedł ku niemu niespokojny, zali jakiego figla nie zamyśla.

— Co tam masz? — zagadnął. — Groch może chcecie z chóru na ludzi sypać, gałgany? Jasiek obrócił ku niemu twarz jasną jak zorza.

— Cicho... Panjezus... — wyszeptał. — Dziecko!? zdumiał się staruszek, zajrzawszy mu za kapotę — zkądeś je wziął? Czyje to?!

— Pan Jezus... powtórzył chłopiec, uśmiechając się anielsko.

Ksiądz spojrzał na niego badawczo.

— Chodź — rzekł krótko, wiodąc na plebanję. Weszli do jasnej, ciepłej kuchni. Zkądeś je wziął? — powtórzył.

— Na progu... To Pan Jezus jest! dodał z przerażeniem, bo gospodyni krzyknąwszy: laboga! dziecko! — odebrała mu bez ceremonji maleństwo, które uderzyło w płacz.

— Cichoj, cichoj!... dam ci mleczka — kołysała je.

— Na progu naszłeś?

— Na progu... Pod lasem siedzący patrzę, a tu światło błyska przy kościele... Podejdę... Oreta!... W jasności Matuchna Boża i Józef stary; ono Dzieciątko podle jak w szopie, jeno żywe. Ale kiej jasność zniknęła, za pazuchem je wziął, bo marzło... powiadał półgłosem, napoły przytomny.

— Jakisik papier! meldowała gospodyni, wyciągając z płachty kawałeczek szarego papieru. Niezdarnem, krzywem pismem napisane było na nim:

„Trzy miesiące ma... krzczone jest, Oleś mu na imię..,“

— Podrzuciła jakaś nieszczęsna z nędzy pewno, licząc na to, że ludzie na Pasterkę idący znajdą... myślał głośno proboszcz.

— Pewnikiem, Józefowa, co to jej chłopa przejechało — ciągiem gadała, że dziecko ciśnie i we świat pójdzie na służbę.



— Może... Ha, cóż, Pan Bóg w taki wieczór je zesłał, trza będzie po chrześcijańsku wychować...

— Już się mleko grzeje...

Skulony w kącie płakał Jasiek, nic z tego nie rozumiejąc. Józefowej dziecko? — Toć widział Pannę Najświętszą.. Łzy gorzkie kapały mu na spracowane ręce, gdy proboszcz wyciągnął go z kąta i do swego pokoju zaprowadził.

— Czego płaczesz?

Umiałby to powiedzieć czego płacze? Płakał za cudem rozwianym. Za szczęściem, które mu się snać jeno przyśniło. Lecz staruszek objął go ramieniem, jak synaczka.

— Z pod lasu jasność ujrzałeś? dopytywał.

— Ano, z pod lasu... wyjąkał przez łzy.

— I widziałeś Panienkę Najświętszą?

— Jako jegomości widzę... grzmotnął się w piersi z rozpaczą.

— Nie śniło ci się?

— Jakże! ani mnie drzymota nie wzbierała... zrazum szedł, a pod górkę, tom już na kolanach lazł, stąpnąć nie śmiejąc... Na śniegu ślad musi być...

Ksiądz zamyślił się głęboko.

— Tedy ci powiem chłopcze, żeś łaski wielkiej dostąpił... Sprawiedliwieś Pana Jezusa oglądał... Bacz! Poniechała Józkowa czy inna dziecko na mrozie i byłoby zmarzło na szczęt, nimby się na nabożeństwo ludzie poschodzili... Pan Jezus się ulitował... Sam, tem dzieckiem, niby szczenię na progu rzuconem, stał się, jak przed wiekami... jużci tak było nie inak... Jasnością wezwał cię z lasu... Potem se odszedł do nieba, ujrzawszy, że sierota bezpieczna...

— Rychtyg... rychtyg... tak było pewnikiem, przywtarzał Jasiek promieniejąc.

— Uczciwe masz widno serce, żeś tego zaszczytu dostąpił... Mój Boże! niejeden cały wiek się stara, modli — a takiej łaski nie

ogląda... O parę kroków tu siedzę, a nie widziałem... ha, Pan Jezus wie lepiej, kogo wybrać... Szczęśliwyś chłopcze... szczęśliwy...

Spojrzał na Jaśka, który płakał znów, ale z radości.

— Czas już dzwonić — rzekł wstając — dziękuj Bogu, miłuj Go... A ludziom lepiej nie gadaj, dodał na odchodnem.

— A dyć — przyznał z przekonaniem Jasiek i uśmiechnął się sam do siebie — ludziom gadać? po co? tylko by się naśmiewali...

Więc złożył głęboko w ubogiem sercu swoje wielkie szczęście, jako skarb mający rozpromienić i ozłocić długie, szare, żmudne życie i nikt w całem Zalesiu nie domyślał się nigdy, że Jasiek sierota oberwaniec, niezguła — Panajezusa raz w Gody, jak św. Antoni w obrazie, piastował.

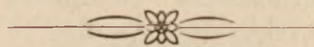
Zofja Kossak-Szczucka.



DZWONY WIGILIJNE.

Cicha, święta noc Bożego Narodzenia. Białe płatki śniegu sypią bezszelestnie, puszystym całunem coraz szczelniej otulając śpiącą ziemię. Bije północ. Pierwsze zbudziło się serce „Serca Polski“: „Zygmunt“. Zda mu się, że od strony „Wiecznego miasta“ płynie ku niemu jakiś zew. Dźwignął się, zakołysał i na kraj cały od wschodu do zachodu, od północy do południa, od sinego Bałtyku po granity Tatr i Beskidów ogłosił spiżowemi usty: „Bóg się rodzi“. I pochwycił ten głos dzwon z górnych wieżyc „Panny Marji“ i odpowiedział uroczyście: „Chwała na wysokości Bogu“, a dzwonek z małego kościółka św. Wojciecha dodał pośpiesznie: „A na ziemi pokój ludziom dobrej woli“. I rozśpiewały się dzwony „wśród nocnej ciszy“, rozkołysały się ich serca jak ziemia polska długa i szeroka, rozkołysały się na cały świat, łącząc się wszystkie w jeden wielki, święty hymn na cześć „Słowa“, co „Ciałem się stało“.

Henrietta Ciecierska.



ESTETYKA WILLIAMA HOGARTHA.

(Dokończenie).

Gdy Hogarth silnie podkreślał potrzebę stosowności części do wspólnego celu całości i do ich poszczególnych zadań, torował tem do pewnego stopnia ścieżki późniejszemu o lat kilkadziesiąt zdaniu Kanta, iż pięknem jest to, co jest celowe, ale w sposób niezamierzony, tylko dzięki temu, że składające się na jego obraz wyobrażenia i formy oglądu wzajemnie się wzmacniają, nabierają większej żywości i uchwytności. Patrząc jednak i na własną swą twórczość także z punktu widzenia pożytku społecznego, moralnego, jak rodowity Anglik, z krwi i kości utylitarysta, nie porzucał przekonania o objektywnych ponadto celach sztuki. Drugie upatrywane przezeń w pięknie znamię istotne: rozmaitość, odpowiadała zupełnie znanym nam skąd inąd pociągom w organizacji artystycznej Hogartha, jego upodobaniom do charakterystyki ludzkich typów i sytuacyj, która stawała nieraz na krawędzi karykatury w swej śmiałej pogoni za siłą, jaskrawo-

ścią i bogactwem wyrażań się. Także ruchliwość jego wyobraźni i żywo objawiana potrzeba łamania się z przeszkodami nakazywały mu domagać się różnolitości. Nadzwyczajne komplikacje, graniczące o miedzę z zamętem, potępiane przez zwolenników klassycyzmu francuskiego, dostępowały łaski w jego oczach pod warunkiem, żeby tylko zachować w nich i uwidocznić jakąś ciągłość, konsekwentny związek i kierunek. Starając się uzasadnić to ogólne żądanie różnorodności w pięknie, wyszedł Hogarth od faktu stwierdzalnego przez samoobserwację, że, gdy śledzimy wzrokiem kształty przedmiotów, wykonujemy oczyma ruchy w ślad za ich konturami. Od tego, jakie są to ruchy, czy są mniej lub więcej jednostajne, czy się nagle załamują w swych kierunkach, czy przeciwnie przechodzą powoli, łagodnie, z jednego kierunku w drugi, zależy okoliczność, czy przeżycie, zmiana, która powstaje w naszych czuciach, ten jakoby wewnętrzny ruch, który towarzyszy tamtemu zewnętznemu ruchowi, jest mniej lub więcej dla nas zajmujący i przyjemny. Pod tym zaś względem zdolności zainteresowania przez jakościowe bogactwo i komplikację kształtów wyróżnił Hogarth 4 ich stopnie:

1. Na najniższym stoją według niego kształty, ograniczone tylko prostemi liniami, przyczem pomija, czy też przeocza możliwe ornamentacyjne efekty także i takich figur, które acz złożone z samych prostych linij, są zarazem skomplikowańsze i regularne (np. ornamenty gwiazdkowe). Odmawia również prawie wszelkiej wartości estetycznej kołom, kulom oraz skombinowanym z kół i z prostych linij stożkom i walcom.

2. Na wyższym już szczeblu stawia kształty, w którym kontury prostolinijne przechodzą nieznacznie w krzywizny, jak kapitele kolumn, wazy i t. p., gdzie więc niema tak wyraźnego odgraniczenia linji prostych od zagiętych, jak w walcu lub stożku, ale jedne wyrastają z drugich łagodnie.

3. O wiele większy powab przypisuje Hogarth takim kształtom, w których występuje i to najlepiej w połączeniu z właśnie wymienionemi motywami — linja falista, nazwana przezeń linją piękności, a to dlatego, że dopiero w tej linji objawia się oscyllacja między dwoma przeciwnemi kierunkami lub prądami, których działaniu ulega postać przedmiotu. Sam jednak Hogarth był na tyle wierny swemu hasłu, żeby niepopadać w sprzeczność z doświadczeniem, iż przyznawał, że niekażda linja falista podoba się, ale tylko mająca wygięcia umiarkowane i to w granicach niejednakich dla różnych przedmiotów. N. p. inaczej zarysowanych mięśni, oczywiście wypuklejszych, wymagamy od siłacza-atlety, a innych od szybkobiegacza, podobnież inne falowania konturów stanowią o piękności kobiet, a inne o piękności mężczyzn.

4. Wreszcie najdoskonalszą formę przyjmuje według tej estetyki piękno linji, gdy kształty już omówione wzbogaca linja wężykowata, która dopiero ma nadawać wdzięk przedmiotom pięknym.

Powód zaś do przypisania jej tej wyjątkowej roli jest podany ten, że linja wężykowata przedstawia większą rozmaitość, bo nie leży na jednej płaszczyźnie, jest zatem linją ruchu w trzech wymiarach, a zawierając w sobie falowania, owija się lub skręca, czy też rozkręca dokoła jakiejś jednej stałej osi. Ktoby chciał dziś na upartego bronić w czambuł estetyki Hogartha, mógłby zauważyć w dodatku, że linja wężykowata daje nam kompletniejsze odczucie przestrzeni, a zarazem, że ciążenie ku pewnym stałym kierunkom lub osiom objawia się na linji wężykowatej w sposób bardziej urozmaicony, aniżeli na linji biegnącej do koła przekroju kuli lub walca. Także wiadomości anatomiczne o budowie ciała ludzkiego służyły Hogarthowi na poparcie jego teorji. Powoływał się na to, że mięśnie rąk i nóg biegną obrośnięte wężykowato na kościach, które stanowią osi dla nich. Konsekwencje uporczywie podtrzymywanego zdania: kształty są tem piękniejsze, im mniej w nich jest prostych linij, — zawiodły go aż nawet do odmówienia piękności stylowi doryckiemu i go-

tyckiemu z pominięciem delikatniejszych krzywizn na kolumnach doryckich i na łukach gotyckich i do wysławiania baroku przeładowanego zwojami spiralnemi, a jakkolwiek przyznawał ujemne wrażenie słabej odporności sprawiane przez skręcone wężykowato kolumny, któremi architektura barokowa chętnie się posługiwała, to przecież nie ustawał w pochwałach dla niej za należyte docenianie piękności linji, tak przezeń wywyższonej ponad wszystkie inne. Z tem wszystkiem jednak stwierdza ostatecznie potrzebę innych jeszcze czynników dla wywarcia wrażenia dodatniego, zwłaszcza w malarstwie. Mówi dość wiele o światłocieniu, jako o najskuteczniejszym środku uwidaczniania głębi w obrazie, jego bliższego, średniego i dalszego tła, o wzbogaceniu tonacji barw przez ich przyciemnianie i rozjaśnianie. A tak wypada z tych jego uwag, że dopiero ze złożenia się wszystkich owych czynników, powstaje piękno artystyczne tam, gdzie istnieje mnogość i żywość motywów, a zarazem gdzie niema ostrych odskoków, ale zachodzą przejścia delikatne i płynne, analogiczne z ową ciągłością, z ruchem tętniącym rytmicznie i przenikającym całość, który zdawałby się najlepiej wyrażać linje uprzywilejowane przez Hogartha: falista i wężykowata.

Poprostu pewne symbole pociągnęły ku sobie tego artystę, a czasem estetyka, te, które uzmysławiały mu po jednej stronie odśrodkowość przejawów życia, jego promieniowanie, zmienność, i te znów, które naodwrót po stronie drugiej przypominały, jak wiele zjawisk w życiu się powtarza z drobnemi tylko odmianami, jak silne raz po raz wybijają się w niem dążności dośrodkowe, samozachowawcze, ku skupieniu się w sobie i utrzymaniu ciągłości, jak niemniej ku ustaleniu zasad współżycia z innymi, ku ulepszeniu organizacji społecznej.

Hogarth, miał wprawdzie tę wielką zasługę, że porzuciwszy ogólniki wypowiadane dotąd przeważnie na temat piękności, zstąpił do rysów konkretnych, czerpanych z obserwacji i do ich tłómaczenia psychologicznego. Rychło jednak stracił z oczu ich grunt wspólny, na którym się wzajemnie dopełniają, jako darzone naszem upodobaniem wyrazy różnych stron życia duchowego, a tak zgubił się w drobiazgowem zalecaniu pewnego typu konturów linijnych, niezdolnego sam przez się obudzić jakiś obfitszy i bujniejszy zespół wyobrażeń i uczuć, ani też otworzyć przed widzem jakieś wyżyny i dale rozległe a jednolite.

Dr. Witold. Rubczyński.
(Prof. Uniw. Jagiell.).



PRZED ŚWIĘTAMI.

Idę ulicą zamyślona...
Już tak niedługo, za chwil kilka
Wigilja zwykle upragniona —
Ot — znów rok minął, niby chwilka...

Wigilja... Czar oczekiwania,
Odgadywane tajemnice:
Czy to dostanę ja, czy Hania?
Czy się podarkiem tym zachwycę?

Wigilja... Zapach balsamiczny
Drgającej blaskiem świec choinki.
Znajomych twarzy szereg liczny,
Wdzięczne uśmiechy, szczęsne minki...

Wigilja... Mama przy pianinie
Zasiądzie... Akord znów uderzy,
Znana melodja w dal popłynie:
„Wśród nocnej ciszy“, „W żłobie [leży“...

Tak bliska przyszłość wspomnień siłą
Różne nasuwa mi obrazy,
O tem. co wciąż przeżywać miło,
Chociaż już było tyle razy...

Słońce zalewa trotuary,
Śnieg lśni się w słońcu, niby złuda.
Ten świat wciąż nowy, choć tak stary,
Zimowe dziś objawia cuda...

Sankowy dzwonek brzmi donośnie.
— Wy, których szarość dni tak gniecie,
Przechodniów tłumie, spójrz radośnie!
Bo przecież warto żyć na świecie...

Alina Kwiecińska.



HONOR PEGGY.

(Dokończenie).

— I w tym wypadku panna Warren będzie musiała zapłacić za zniszczony płaszczyk pannie Dale. — Usta jej zawsze z rozkoszą wypowiadały to nazwisko, zupełnie jakby miała w ustach wyborną czekoladkę. — A ja zaś będę niestety zmuszona wydalić ją ze szkoły.

Twarz mojej nauczycielki przybrała taki wyraz, że ja na ten widok zapomniałam o własnem położeniu.

— Panienki, możecie odejść — zakończyła pani Latour.

Ani jedna nie drgnęła. Były zanadto zainteresowane widokiem mojej osoby wkładającej kapelusz i okrycie i ani jedna nie wyszła zanim ja się nie znalazłam na ulicy.

Kiedy godzinę przedtem wychodziłam sama z domu tylnem wyjściem, wiedziałam doskonale, że źle robię. Ale czyniłam to rozmyślnie, obiecując sobie, że naprawię to później, przyznając się do tego szczerze. Może to się wydać śmieszne, ale byłoby to zbyt ciążyło na mem sumieniu. Przytem można było przypuszczać, że ktoś z domowych może widział, a zawsze jest lepiej, gdy starsi słyszą o naszych winach z pierwszej ręki.

Trzeba więc było powiedzieć zaraz. Chwila była dziwnie źle wybrana na wyznanie, ale to jednak wydawało się lepsze niż to ciężkie milczenie. Zaczęłam odważnie:

— Miss Greene, ja poszłam sama do szkoły.

Nie było odpowiedzi.

Pogrążona w własnych myślach, moja nauczycielka wydawała się przebywać bardzo daleko. Spróbowałam jaśniej się wyrazić:

— Miss Greene, ja nie zawołałam Anusi, żeby mnie odprowadziła. Wolałam iść sama, ja...

— Dosyć! — przerwał mi zmieniony głos mojej nauczycielki.

A więc moje słowa wywołały pewne wrażenie. Biedna Miss Greene! Zatrzymała się na chwilę, a twarz jej dotychczas bardzo blada, przybrała dziwną, ceglastą barwę.

Przyszło mi na myśl, że moja nauczycielka zemdleje albo dostanie jakiegoś ataku nerwów, a ja nie potrafię na to poradzić, ale z wysiłkiem zapanowała nad sobą i rzekła przeraźliwie spokojnym tonem:

— Miałam tego dosyć, więcej niż dosyć, jak na jeden dzień.

W milczeniu doszłyśmy do domu.

— Chodź ze mną do pokoju szkolnego, Małgorzato, rzekła Miss Greene wchodząc. Poszłam za nią posłusznie.

— Teraz — zaczęła moja nauczycielka, gdy już zamknęłam drzwi i stałam dość hardo oparta o nie plecami — chciej zrozumieć, że ja nie dopuszczę do tego, aby cię z tej szkoły wypędzili. Taka bezprzykładna kompromitacja — ciągnęła ożywiając się — spadłaby nietylko na ciebie ale i na mnie i na twoich rodziców (mó-

wiła zupełnie tak, jakby zakazywała mi przyjemności, o którą ja się dobijałam). Pamiętaj, że takie poniżenie przyczepia się do człowieka. I prześladuje go całe życie.

Doprawdy, brzmiało to bardzo groźnie. Miałam w duchu nadzieję, że jednak, tak źle nie będzie.

— Widzisz więc — ciągnęła moja nauczycielka przekonywująco — że koniecznem jest, abyś się jaknajprędzej uniewinniła.

Oczekiwała z otuchą na moją odpowiedź.

— Wcale tego nie widzę — rzekłam chmurnie.

Odpowiedź moja była dla niej wielkim azwodem. Miss Greene oniemiała ze zmartwienia, a oczy jej nabrały niezwykłego blasku.

— Zdaje mi się — rzekła po chwili — że będę zmuszona cię do tego przymusić.

— Nie uda się pani.

— Zrobię, co będzie w mojej mocy.

I dotrzymała słowa.

Smutny nastąpił tydzień. Moja opiekunka zaczęła od łagodności. I ta epoka „łagodnych perswazyj“ była najcięższą do zniesienia. Przecież o wiele łatwiej było wytrzymać, kiedy stawała się sroga i zagniewana.

A myśl wypędzenia mnie wciąż prześladowała. Specjalne upokorzenie mieści się w słowie „wydalona“. Myślę, że musi to być zmora w każdej szkole. Im więcej nad tem się zastanawiałam, tem okropniejsze się to wydawało, a moja nauczycielka mi w tem dzielnie pomagała. Nie dziwiłam się prawie, że Ruta Field stchórzyła przed wyznaniem.

Dnie mijały, a Miss Greene zaczynała tracić cierpliwość. W takich warunkach domowa nauczycielka staje się czemś trudnem do zniesienia. Niema ucieczki od niej, a ona potrafi uczynić ci życie tak nieznośnem, jak nikt inny na świecie.

Skończyło się na tem, że zaczęła się między nami „wojna na noże“; to był jedyny rezultat.

Piątego dnia byłam tak podrażniona, że zupełnie straciłam panowanie nad sobą i doczekałam się piśmiennej kary za hardość. Zajęta byłam właśnie tem pisaniem w szkolnym pokoju, gdy nadeszła moja nauczycielka. Wobec zbliżenia się wroga, mruknęłam coś wewnętrznie, ale że ucieczka była niemożliwa, czekałam na nieuniknione kazanie. Jednakże, ku memu zdziwieniu, usiadła, nie wyrzekłszy słowa, i zaczęła pisać list. Przez chwilę pióra nasze skrzypiały zgodnie po papierze. Potem Miss Greene starannie zakleiła list, napisała adres, przylepiła markę i spojrzała w moją stronę.

— Zmusiłaś mnie do ostateczności. — rzekła. W tej chwili piszę do pani Latour, że nie będziesz brać więcej lekcyj tańca.

— To znaczy, że opuszczam szkołę? — spytałam, nie mogąc pojąć tego obrotu rzeczy.

— Tak jest'

— No, przecież to ich przekona, że jestem winna! Będą myśleli, ża się boję.

— Wypędzenia — zakończyła moja nauczycielka. Wyglądała dość zadowolona i mówiła przyjaźnie.

— Tak, zapewne będą tak myśleli.

Chłód jej doprowadzał mnie do szału.

— Więc tak nie będzie! — zawołałam w uniesieniu, zapominając się zupełnie. — Stawię im czoło!

Miss Greene przyjęła ten wybuch zupełnie spokojnie.

— Nierozsądna jesteś — rzekła. — Nie skończyłaś jeszcze jednej kary za zachowanie, a już zasługujesz na nową.

Wstała z listem w ręku i zadzwoniła,

— Proszę niezwłocznie list wrzucić na pocztę — rzekła do wchodzącego służącego.

Ten ostatni, udając się ku drzwiom, musiał przejść obok mnie.

Siedziałam spokojnie i czekałam, gdy znalazł się na wysokości mojego łokcia, szybkiem ruchem list mu z ręki wyrwałam: po chwili leżał w strzępach na podłodze.

Tyle wyrazu pojawiło się nagle na twarzy tego człowieka, że musiało to być zdumiewające dla kogokolwiek, znającego go dawniej. Raz w życiu zapomiał być

automatem i stał wahający, niepewny co dalej robić.

— Możecie odejść Williamsie — rzekła moja nauczycielka równym głosem.

Drzwi się zamknęły i nastało głuche milczenie. Zaczynało to być nie do zniesienia, gdy drzwi otworzyły się napowrót i wszedł znowu służący, niosąc list dla mnie. Poczem cicho wyszedł.

— Oddaj mi ten list — rzekła Miss Greene.

Spojrzałam zdumiona.

— Oddaj mi go w tej chwili — powtórzyła takim tonem, że nauczona doświadczeniem usłuchałam.

— Potraktuję twoją prywatną korespondencję w ten sam sposób, w jaki ty obeszłaś się z moją — rzekła surowo. — Jednakże, ponieważ list zawierać może coś ważnego, muszę go najpierw przeczytać.

Sądząc po czasie, jaki to trwało, moja nauczycielka musiała list przeczytać raz i drugi, a twarz jej przytem nabrała tak dziwnego wyrazu, że mnie ciekawość poprostu zaczęła palić. Zwykle żadnym sposobem nie możnaby ze mnie wydobyć przeprosin, ale w tych warunkach sama się na to zdecydowałam.

— Przepraszam, że panią obraziłam — rzekłam, chcąc wzruszyć jej serce.

Podniosła oczy z nad listu.

— Przebaczam ci — rzekła. — I wobec niespodziewanych okoliczności, pozwalam ci list przeczytać.

Rzuciłam się na niego chciwie.

Brzmiał, jak następuje:

„Kochana Małgorzatko! Ponieważ niedługo przenosimy się w inną stronę miasta, opuszczam szkołę tańca trochę wcześniej niż zamierzałam. Rozumiesz mnie? Listownie zawiadomiłam panią Latour, że to moja skromna osoba tak pięknie udekorowała płaszczyk „tej hrabianki“. Nie żałuję ani trochę, że to zrobiłam, ale doszły mnie słuchy, że masz zabójcze życie z tą twoją nauczycielką, a przytem przyznać trzeba, że jesteś porządna dziewczyna, choć zachowując się w tak głupi sposób, prawie, że zasługiwałaś na to wszystko“. Twoja etc.

Ruta Field.

„P. S. Na twojem miejscu, poszukałabym lekarstwa na rumieńce i postarałabym się o kultywowanie „drewnianej twarzy“.

List ten mnie tak usposobił, że miałam ochotę śmiać się i płakać. Ach jak dobrze było na świecie!

Drżącemi palcami złożyłam list i oddałam go mojej nauczycielce

— Zatrzymaj go sobie, Peggy — rzekła z uśmiechem.

Ja uśmiechnęłam się także. Miło było być znowu „Peggy“. Małgorzata obrzydła mi zupełnie.

— Musiałaś bardzo kochać tę dziewczynę? spytała moja nauczycielka, patrząc mi w oczy.

Zaśmiałam się. Jak to przyjemnie się śmiać!

— Zawsześmy się nie lubiły!

— Więc czemu?

— Chodziło o honor, przecież mówiłam.

Nastąpiło długie milczenie.

I nagle moja nauczycielka pochyliła się i pocałowa mnie.

Z angielskiego przełożyła: *J. M.*



JESZCZE PAMIĘCI ASNYKA.

(1827—1927).

W szkole cierpienia, w bolesnem zmaganiu się z samym sobą i przeciwnościami zewnętrznemi, wśród społeczeństwa, pogrążonego w apatji po r. 63 hartowała się dusza poety.

Najpiękniejsze nadzieje, sny i marzenia młodzieńcze, wiara, że dobro i sprawiedliwość muszą zatriumfować — rozbiły się jak o szmat głazu, z chwilą, gdy młody zapaleniec, co siły swe i życie niósł Polsce w ofierze, wracał z pola bitwy powstania styczniowego wraz z innymi, z piętnem klęski i bolesnem poczuciem srogiej i strasznej niewoli.

A dla młodego pokolenia klęska styczniowa była nietylko ciosem narodowym — była czemś stokroć gorszem, bo rozbiciem ideałów i przekonaniem, że zło triumfuje nad dobrem, że wszystko, co głosili wieszczowie nasi o dziejowej konieczności zmartwychwstania Polski, tej, co niewinnie cierpiała przez lata całe, jest marą i złudą. — Świt, co gdzieś na falach czasu obwieszczał Krasiński — zatarł się znowu we mgle, której chwilowo nic rozwiać nie zdołało.

„Przeminął czas! przeminął czas
Rapsodów sławy i miecza
Zmalały pieśni pośród nas
I pierś zmalała człowiecza“.

I szedł poeta smutny w dalsze życie — a w miarę im głębiej je analizował, tem więcej dostrzegał w niem braków, nędz i skaz i tem smutniejsze snuł refleksje.

„Ręką ziemskiego dotknąłem się błota,
Widziałem zbrodnie, nie widziałem kary,
Oprócz boleści i nędzy żywota
Nic nie znalazłem i zbrakło mi wiary —
I dalej w ciemność poszedłem z rozpaczą,
Zazdroszcząc ludziom, co na grobach pła-
[czą“.

Stracił wiarę — miłość — i nadzieję — a w duszy, jakby w „zburzonym kościele“ została straszna pustka i samotność — on sam jak „nędzarz“, świadom najstraszniejszej niemocy, bo własnej duchowej pustki i ciemności.

Lecz te przeżycia wewnętrzne, choć tak dotkliwe i ciężkie — jak dłótem rzeźbiły serce poety — im więcej widział złego w sobie i w otaczającym go świecie, tem silniej narzucała się myśl, że musi być dobro nieskończone, bo inaczej człowiek nad złem-by nie bolał, ani nie cierpiał:

„I sama rozpacz szalona i trwoga
Świadczyła jeszcze o potędze Boga“. —

I myśl ta wróciła poecie szczęście — odnalazł zapomniany krzyżyk, zawieszony niegdyś ręką matki na piersi dziecka — krzyżyk, co świadkiem mu był młodzieńczej wiary nieskalanej, a „przetrwał wszystkie burze i szaleństwa, znakiem cichego boskiego męczeństwa“ — a wraz z nim wrócił skarb życia i pewność, że „wszystko przemija, prawda nie przeminie“.

I zwolna ból przestawał się ujawniać pesymizmem, choć został smutek i cicha melancholja, która tak znamienną i stałą jest nutą całej twórczości Asnyka.

Wróciło wspomnienie matki, związane z latami szczęścia lat dziecięcych. — Jej nakaz „zawsze ach d o b r y m b ą d ź — z miłością drugich sądź — nie zatrać dziecinnej wiary, nie żałuj swej ofiary...“ staje się odtąd jakby mottem całego szeregu głębokich rozważań i pięknych haseł, z jakiemi się Asnyk zwraca szczególnie do młodych:

„Wzleć ponad własnej drogi kres
Z błogosławieństwem dla świata,
Co w pasmo błędów, walk i łez
Szlachetne myśli wplata“. —

Wierzył już niezłomnie poeta, że nic, co się poczęło z miłości, ofiary i poświęcenia dla dobra ludzkości, zginąć nie może, bo „snuć się będzie złota nić, chociaż ty spoczniesz w mogile...“ — wierzył, że miłość jest potęgą twórczą, bo „co złość zniweczy, co występek zburzy, to miłość z gruzów napowrót postawi“ —

głosił, że każda myśl dobra wiedzie za sobą cały zastęp nowych, szlachetnych porywów i pragnień, a

„cichych poświęceń nieustanna praca
i serc szlachetnych dobroć promienista

— — — — — — — — —

— — — — — — — — —

powszechny skarbiec duchowy wzbogaca,
z którego każdy czerpie i korzysta". —

Kazał więc z wiarą z „żywymi iść, po życie sięgać nowe" — porzucić bezsilny gniew i próżny żal — a „prawdy jasnego płomienia szukać" dla dobra własnego i ludzkości całej.

Będąc przekonanym, że ofiarę i poświęcenie musi uwieńczyć chwała i triumf, budził w sobie i drugich moc i tężyznę ducha — głosił niezłomnie zmartwychwstanie ojczyzny — wierzył, że Polska w nowej powstanie postaci, z win dawnych i grzechów odrodzona — strojna „w królewski diadem"

— — — — — — — — —

Śmierć, pasmo życia poety przecięła — zanim się słowa jego spełniły, wiara jednak odniosła triumf, ku któremu z utęsknieniem rwało się serce poety, co dla dobra ojczyzny życie swe i trudy składał w ciągłej ofierze.

M. Al.

MISJA NA KAŹMIERZU.

Wielo się dziś mówi i pisze o misjach zagranicznych i słusznie, bo szerzenie wśród niewiernych zasad słodkiej Chrystusowej nauki jest potrzebą wszystkich, Boga kochających serc.

Spieszą wciąż, opuszczając kraj i rodzinę, heroiczni misjonarze i misjonarki pod gorące niebo Afryki i w krainy wiecznego śniegu, byle tylko do stóp Chrystusa najliczniejsze przyprowadzić rzesze.

I ja wam też, Drogie „Dziś i Jutro" Czytelniczki, chcę coś o misjach opowiedzieć, ale nie o tych w odległych stronach, nie o zagranicznych misjach, ale o misjach, do których każda z was dostać się może, bo leżą one tuż, tuż koło was, w samym sercu kraju w Krakowie, w dzielnicy Kaźmierz. Nie waham się twierdzić, że ciemnotę, opuszczenie, nędzę tamtejszej ludności porównać można z ciemnotą panującą w krajach misyjnych, a której zaradzenie bardziej jeszcze leżeć nam na sercu powinno.

Kaźmierz, jak wam wiadomo, zamieszkały jest głównie przez żydów, oni tam posiadają domy, sklepy, składy, oni tam są panami, a ich sługami, prawie że niewolnikami, najnędzniejsza ludność, z imienia tylko chrześcijańska, gnieżdżąca się w suterenach, brudnych podwórzach, lepiankach wilgotnych. Przypatrzcie się tym dzieciom, które tam żyją wynędzniałe, blade, ciemne, dzikie. Wiele z nich nie chodziło nigdy do szkoły, nie umieją czytać ani pisać, umieją tylko kraść i żyć tak, jak żyje zwierzę. Spotyka się nieraz kilkunastoletnich chłopców i dziewczęta, które do Sakramentów św. nigdy jeszcze nie przystąpiły.

Pytam raz dwóch dużych chłopców dlaczego do spowiedzi jeszcze nie byli? — „Nikt o nas nie dbał — odpowiadają; — matka czasem dała kawałek chleba i trochę wódki z szynku żydowskiego, a ojciec, jak tylko podrośliśmy, wyrzucał z domu mówiąc, że nie będzie na nas robił, więc żyliśmy z posług oddawanych żydom, kto miał czas o czem innem myśleć?".

— Gdzie mieszkasz? — pytam jednej małej, obdartej i brudnej dziewczynki.

— Aż do zimy nad Wisłą, a gdy najgorsze przychodzą mrozy, to w szopie na Kaźmierzu; braciszek mój najmłodszy

urodził się nad Wisłą, a nasz majątek to parę szmat i garnek blaszany. — Z czego żyjecie? — Czasem matka umyje u żydów podłogę, to dostanie parę groszy“!

Czy w takich stosunkach i w takiem otoczeniu myślą ci nędzarze, by dzieci ich poznały naukę wiary, by chodziły do kościoła i uczęszczały do Sakramentów?

Rosną więc dzieci bez Boga, bez nauki, otoczone złemi przykładami. Wychowuje je ulica, a wychowawszy, oddaje je przeważnie więzieniom, bo na zbrodniarzy się chowają.

A jednak, gdyby te dzieci otoczyć opieką, nakarmić, ubrać, oświecić, to wiele dałoby się uratować, bo grunt zły nie jest. Pracę na Kaźmierzu, w miarę możności, więc na małą dopiero skalę, podjęła Kongregacja Pań Dzieci Marji. Codziennie wieczorem w jednej ze szkół na Kaźmierzu zbiera się dziewczątka, uczy się je czytać, pisać, katechizmu i robót ręcznych, urządza się dla nich rekolekcje, ubiera się je i karmi. Już cała gromadka dzieci wyszłych z najgorszych mętów ulicznych, nauczyła się kochać i znać Boga.

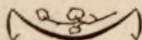
Dzieci te dziś bardzo pragną, by im założyć bibljoteczkę, bo one też pragną oświaty, dążą do światła, niestety, funduszów niema.

Przy zbliżających się świętach Bożego Narodzenia zastanówmy się, czem Boskiemu Dzieciątku największą sprawilibyśmy radość i pomyślmy o biednych opuszczonych dzieciach, które na wigilijną wieczerzę nie będą miały nawet kawałka suchego chleba, które drżeć będą z zimna i do których uszu nie dojdzie radosna pieśń anielska, obwieszczająca światu, że Chrystus narodził się, nie dojdzie, bo o tym Jezusie ledwie coś słyszały, żyjąc prawie tak dziko, a nieraz nawet nędzniej, niż murzyni w Afryce.

Jeżeliby która z Czytelniczek „Dziś Jutro“ chciała z miłości dla Dzieciątka Jezus złożyć jaki dar, czy to książkę, czy odzież, czy grosz lub trochę słodyczy, niech je złoży na ręce prezydentki Kongregacji Dzieci Marji, p. Róży Łubieńskiej, ul. Karmelicka 14.

Również gdyby która z was miała kiedy ochotę osobiście przypatrzeć się tej pracy misyjnej na Kaźmierzu, jeżeliby chciała być tym aniołem, co rzuca promień radości tam, gdzie tyle jest smutku i cierpienia, to niech zgłosi się pod podanym wyżej adresem, a z radością zaprowadzę do tych tak bliskich, a jednak tak wam obcych stron i jestem pewna, że w każdem polskiem i katolickiem sercu odezwie się gorące pragnienie dopomożenia tej tak bardzo potrzebującej misji na Kaźmierzu.

Róża Łubieńska.



Z POLSKI I ZE ŚWIATA.

Ś. p. Stanisław Przybyszewski, znakomity pisarz polski, zmarł nagle dnia 24 listopada b. r. w Jarontach pod Inowrocławiem, gdzie bawił w gościnie od kilku dni, kończąc przygotowania do odczytu, który miał mieć w Krakowie.

* * *

St. Przybyszewski urodził się w Łojewie pod Kruszwicą 1868 r., do gimnazjum uczęszczał w Toruniu i w Wągrowcu, na uniwersytet w Berlinie; studjował najpierw medycynę, potem literaturę. Zostawił szereg dzieł po niemiecku i po polsku.

Przeszłego roku po odbyciu spowiedzi i przyjęciu Komunji św. złożył następujące oświadczenie:

„Oświadczam, że w wierze katolickiej, w której się urodziłem, chcę żyć i umierać. Za wszystkie wykroczenia przeciwko zasadom tej wiary serdecznie żałuję i pragnę wszystko naprawić. Jak najgłębiej i jak najszczerzej Kościołowi katolickiemu oddany Stanisław Przybyszewski.

Warszawa, 20 października 1926“.

Premjer Litwy, Waldemaras (niegdyś — Rosjanin, potem — Niemiec, a obecnie zagorzały patrjota litewski) wniósł do Ligi Narodów oskarżenie na Polskę o kasowanie szkół litewskich i podobne zakusy antylitewskie... W Wilnie odbyła się wskutek tego narada polityczna, w której brał udział Marszałek Piłsudski i minister spraw zagranicznych, Zaleski. Zaniepokojony Waldemaras zaczął nowe szturmy zagranicą, zarzucając Polsce dążenie do zbrojnego starcia. By całą tę sprawę litewską raz wreszcie wyjaśnić i okazać w prawdziwem świetle „urbi et orbi“ jak rzeczy stoją, Marszałek Piłsudski wyjechał dn. 7. XII. do Genewy na obrady.

Termin wyborów do Sejmu już wyznaczony na dzień 26 lutego, a do Senatu na 4 marca. Wchodzimy więc w gorący okres przedwyborczy.

Z Niemcami zawarto już parę układów handlowych o wywóz drzewa i o robotników rolnych, a obecnie pracują w Warszawie przedstawiciele Polski i Niemiec nad traktatem handlowym.

Litwinow, poseł sowiecki, przedstawił obradującej w Genewie komisji rozbrojeniowej 14 punktów o rozbrojeniu, w których podaje wnioski bardzo daleko idące i możliwe chyba — na tamtym świecie... Szkoda, że Rosja zachowaniem swem nie potwierdza wniosków idealnych swego posła...

W Rumunji zmarł nagle na zapalenie gardła Bratianu, prezydent ministrów. Jak ułożą się tam teraz stosunki polityczne — niewiadomo.

W Belgji upadł dawny rząd z r. 1926, rząd obecny pod przewodnictwem Jaspara, wykluczył ze swego łona socjalistów.



NAD TRUMNĄ ś. p. IZY STAROWIEYSKIEJ

WSPOŁPRACOWNICZKI „DZIŚ I JUTRO“.

Dnia 4 b. m. zmarła w Krakowie w klinice chirurgicznej współpracowniczka naszego pisma, ś. p. Iza Starowieyska.

Ukończywszy gimnazjum SS. Urszulanek w Krakowie, zapisała się na wydział prawniczy Uniw. Jag., gdzie po świetnie odbytych studjach uzyskała stopień magistra nauk prawniczych.

Była współpracowniczką naszego pisemka, pisując artykuły doraźne, zaś na rok 1928 zobowiązała się pisywać stałe feljetony.

Lekka operacja, której się poddała, udała się doskonale i stan jej zdrowia nie budził żadnych obaw. W 9 dni po operacji rano słuchała Mszy św. i kazania przez radjo transmisji poznańskiej, a potem omawiała sprawy „Dziś i Jutro“, naznaczając na dzień następny konferencję na ten temat. Mówiła, że ma głowę pełną projektów. Była wesoła i ożywiona.

Około 5 popoł. uczyniło jej się nagle niedobrze i w ciągu paru chwil przeszła do lepszego życia. Pociechą dla tych, którzy ją znali, jest myśl, że poszła przygotowana do Pana, bo przed operacją była u spowiedzi i Komunji św.

Wobec tego bolesnego faktu zatrzymuje się myśl ludzka jakoby w wielkim zdumieniu. S. p. Iza Starowieyska budziła u wszystkich tak świetne nadzieje. Wybitnie zdolna, wykształcona, powołana zdawało by się do czynienia tak wiele dobrego. — W rodzinie była promieniem słońca... i stała u progu szczęścia.

W koła koleżańskie wnosiła zapał i życie.

Profesorowie cenili ją jako wybitną siłę

naukową. — I chyba nie pozostaje nam nic innego, jak ukorzyć się wobec Ciebie, Panie życia i śmierci i wyznawać:

Myśli Twoje nie są jako myśli nasze — Ale iżeś ją wziął z pomiędzy tych, którzy ją kochali, wierzymy, iżeś to dla jej dobra uczynił, bo Bogiem dobrym jesteś, Panie nasz!

I spokojni jesteśmy o nią, bo w rękach Twoich spoczywa dusza jej. Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci.

M. T. Ledóchowska.



WŚRÓD KSIĄŻEK.

Na Gwiazdkę — książki dla dzieci.

Mało mamy polskich książek dla dzieci ozdobionych prawdziwie artystycznemi, a swojskiemi ilustracjami.

Najczęściej spotykamy obrazkowe książki cudzoziemskie, do których dorabia się wierszyki polskie. Obecnie księgarnia M. Arcta w Warszawie wydała cały szereg prawdziwie pięknych książeczek, w których zajmująca i pouczająca treść łączy sie z artystyczną szatą zewnętrzną.

Już w zeszłym roku ukazały się następujące książeczki z tego cyklu: „To książeczka osobliwa, sama gada sama śpiewa“ *Marji Konopnickiej*; „O Janku Wędrowniczku“ tejże autorki, „O Jasiu Sowizdrzale i o gęsi co niosła złote jajka, czarodziejska bajka“ *Or-Ota* i „W Wojtusiowej izbie“ *Porazińskiej*. W tym roku mamy do zanotowania następujące:

Adam Mickiewicz — „Pani Twardowska“, ballada z 9 ilustracjami barwnemi i 15 sylwetami A. Gawińskiego. Do fantazji i dowcipu wieszcza Gawiński dodał tak kolorową ilustrację i tak wesołe chińskie cienie, że trudno sobie wyobrazić lepsze zobrazowanie sławnej ballady. Cena Zł 3·—.

Marja Konopnicka — „Filuś, Miluś i Kizia nasze kotki“ z 14 rysunkami na całą stronę i 14 drobnemi w tekście A. Gawińskiego. W kolorowej okładce Zł 3·—. Pomysł, który kazał kotom i kotkom ubranym w ubranka, wykonywać wszystkie czynności i zabawy prawdziwych dzieci, jest dla tych ostatuich niewyczerpanem źródłem radości.

Marja Dynowska — „Dylu dylu na badylu“, wiersze dla dzieci z 23 ilustracjami A. Gramatyka-Ostrowskiej z dwubarwną okładką. Cena Zł 3·—.

A... a kotki dwa
Szare bure obydwa
A ten szary
    To jest stary
A ten bury
    Ma pazury

Jeden chodzi po ziemi
Trzyma łapki w kieszeni
Drugi siedzi na kominie
I coś mruczy po łacinie
A... a kotki dwa...

Marja Konopnicka — „Szkolne przygody Pimpusia Sadełko“. Opowiadanie wierszem z 12 całostronicowemi ilustracjami i 12 w tekście Bohdana Nowakowskiego. W barwnej okładce. Cena j. w. Zł 3·—. Książka dla małych dzieci wyraźnym, dużym drukiem odbijana. Pełen wdzięku wiersz bawić może i starszych, a wśród dzieci podczas czytania cisza gwarantowana.

„No siadajcie drogie dzieci
Rzecze pani Mruczysiowa
Tylko cicho się sprawujcie
Bo mnie dzisiaj boli głowa.



OD REDAKCJI.

Dziewczątka drogie — niech Boża Dziecina ześle Wam dużo radości i wesela — a Wy, wpatrując się u stóp żłóbka w uniżony Majestat Nieskończony uczcie się, że miłość i pokora — to niezwyciężone moce.

Nie odpisuję imiennie na wszystkie wasze liściki, bo nie wszystkie coś nowego mi przynoszą, a powtarzanie kilkakrotne prawie jednakowych odpowiedzi, nużyłoby Czytelników. Każdy numer „Dziś i Jutro" jest długim, zbiorowym listem do wszystkich naszych Czytelniczek, a specjalnie do tych, które do Redakcji listownie lub osobiście się zwracają — i których życzenia, o ile możności, w treści i składzie numeru uwzględniamy. Przeczytajcie tylko uważnie — a z pewnością odpowiedzi dla siebie znajdziecie.

Przeczytajcie ten numer — ostatni w roku bieżącym — i poprzednie, i cały rocznik przejrzyjcie, przypominając sobie, coście czytały dawniej, czytając na nowo coście wtedy opuściły — i sporządźcie wykaz, o jaki prosiłam w Nr. 19.

Kilka Czytelniczek już mi takie wykazy nadesłało — ale to mało, chciałabym je otrzymać od wszystkich Czytelniczek. — Ułatwiłoby mi to spełnienie Waszych próśb tyczących się redagowania i wydawania „Dziś i Jutro".

Rycerko z pod błękitnego znaku nie kazałaś długo czekać na swój miły bardzo list „milowy" i sprawiłaś mi nim wielką przyjemność. Masz słuszność, wielkie znaczenie mają w życiu „maleńkie słowa" i trzeba na nie zwracać baczną uwagę, bo i złego i dobrego dużo można niemi wyrządzić. Panowanie nad sobą i uwaga na to, co się mówi są konieczne, ale wysiłki te ułatwi urobienie serca, przepełnienie go miłością, życzliwością ku wszystkim, bo „z obfitości serca usta mówią".

Z zajęciem czytałam to, co piszesz o życiu Waszem w sodalicji, o pracy w Kółkach. Możebyś to napisała, tak bym mogła podać do druku.

Jaskółko — co za smutki! co za gorycz! — Komu Pan Bóg dał możność pracowania dla dobra dusz, szerzenia Bożej chwały, ten o osobistych zmartwieniach powinien zapominać, nawet tak poważnych, jak Twoje. Módl się i pracuj, byś miała przekonanie, że wypełniłaś wszystko, co do Ciebie należy. Resztę zdaj na Boga, który wie najlepiej, co komu **naprawdę** potrzebne. Módl się gorąco — ale pamiętaj, że modlitwa nie wiele warta, gdy w sercu żal, a może niewdzięczność...? Ufam, że u stóp żłóbka, pod spojrzeniem Bożej Dzieciny gorycze stopnieją, a ufność serduszko Twe przepełni. Tego życzę!

Mirę witam z radością w szeregach naszych korespondentek. Pisuj swobodnie i do Redakcji i do Gawęd. — Warunki prenumeraty „Mojego Światka" są podane w Nr. 14—15 „Dziś i Jutro".

Kseńkę witam również — pisuj i do Gawęd i do Redakcji, miłe mi zawsze wasze listy.

Promyczku, dlaczegożby nie można wprowadzić w życie wzniosłych ideałów miłości bliźniego, ofiarności, szczerej przyjaźni i t. d.? — Jestem Twego zdania, że trzeba tylko **chcieć** — ale **wytrwale** — to dużo dobrego zdziałać można.

„Poznaj swój kraj!" — za list niech przyjmie: „Dzięki!" i niech częściej dzieli się z nami wynikami swych prac krajoznawczych.

Reni B. za list krótki — krótko dziękuję, a na długi czekam. Zamówienie na pocztówki widocznie gdzieś zaginęło. Kartki przydadzą się może na Gwiazdkę, więc je wysyłam.

Błędnemu Ognikowi za hojne ofiary na Gwiazdkę dla najbiedniejszych ser-

decznie dziękuję. Duża paczka bielizny i pończoszki sprawią wiele radości.

Na ogół jednak ofiar tych nadeszło za mało, by móc urządzić „Gwiazdkę“ **w Redakcji** — zbierzemy więc otrzymane dary i prześlemy je **od Czytelniczek „Dziś i Jutro“ dla najbiedniejszych dzieci na Kaźmierzu** (patrz artykuł str. 431).

Nowość na rok 1928.

Kończące szkoły Czytelniczki „Dziś i Jutro“ nie chcą zrywać z pismem naszem i proszą, by i dla nich — tych starszych — też istniał kącik w „Dziś i Jutro“.

Chcemy uczynić zadość tym życzeniom i od N. Roku zarezerwujemy osobne miejsce na umieszczanie zawiadomień, komunikatów, korespondencji **Kół i Związków byłych wychowanek różnych szkół średnich.**

Jak się ten dział będzie nazywał? — Czy będzie zajmujący? — Co się tam da pomieścić? — Zobaczymy.

Rzucam projekt — a kto pierwszy coś nadeśle?



GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

(Rubryka ta zawiera swobodną wymianę myśli młodych czytelniczek (młodzieży uczącej się). Zwolenniczki jak i przeciwniczki zdań przedkładanych mogą tu głos zabierać — Przy odpowiedziach należy podawać oprócz pseudonimu adresatki, także numer *listu, na który się odpowiada)*

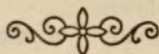
419. „Poznaj swój kraj“ — do Gawędziarek. Piszę do Was pierwszy raz. Chcę zwrócić Waszą uwagę na ideę i pracę Kółek Krajoznawczych. Wszak każda Polka powinna znać swoją Ojczyznę, tak pod względem geograficznym, jak i etnograficznym, nie mogą jej być obce poezja i sztuka ludowa. W celu ich poznania zakłada się Kółka Krajoznawcze.

Praca w Kółku, pojęta poważnie i naukowo, może dać bardzo wiele nie tylko samym członkom, ale i ludziom pracującym w tym kierunku. Zastanówcie się Kochane Koleżanki nad tem, czy w szkołach do których uczęszczacie, nie dobrzeby było założyć takie Kółka Krajoznawcze, bo przecież każdy zakątek naszej ziemi godny jest zainteresowania. Niestety, Kół takich w szkołach żeńskich jest dotychczas bardzo mało. Traci się przez to dużo. Gdyby bowiem było ich więcej, możnaby wspólnie pracować, organizować razem dalsze wycieczki, udzielać sobie nawzajem informacji.

Jeżeli projekt ten Was zajmie, odpiszcie w „Dziś i Jutro“ co o tem myślicie.

420. Figlarka do Gawędziarek. Podobają mi się bardzo Wasze gawędy. Dlatego też chciałabym się przyłączyć do Was. Myślę, że mnie chętnie przyjmiecie. Na początek rzucam pytanie: Czy lubicie czytać i jaki autor Wam się najwięcej podoba?

421. Kseńka do Gawędziarek. Pierwszyy raz odzywam się do Was, miluchne Gadułki. Czy przyjmiecie mnie do swego grona? Odpowiedzcie proszę na pytanie: Czy lubicie „szarą godzinę“? Jeśli tak, to dlaczego?



ODPOWIEDZI
NA ZAGADNIENIE PSYCHOLOGICZNE,
PODANE W NUMERZE 19.

Odpowiedzi na zagadnienie nadeszło 36.

Najlepszą nadesłała **J. Budzyńska** — VIII kl. gimn. **w Krotoszynie.** — Przyznajemy jej **pierwszą nagrodę** — książkę ks. bp. Bougaud: „Kościół“ i z pracy jej przytaczamy trzy obrazki.

Drugą nagrodę otrzymuje: Z. **Szafrańska** VIII g. **z Krakowa** — książkę: Ks. bp. Bongaud: „Życie chrześcijańskie“. Na pochwałę zasługują: **Mira Meduska** VIII g., **Krysia Danekówna** VIII g. **z Krakowa, Wanda Jakubowska z Lublina.** Z prac ich przytaczamy wyjątki.

Hania o temperamencie flegmatycznym.

— Haniu, Haniu, co Bronek zrobił! Chodź tylko, chodź prędko! — wołała Irka, ciągnąc gwałtownie starszą siostrę za okrycie i gniotąc je przytem niemiłosiernie.

— Tylko spokojniej, spokojniej przerwała Hania, rozbierając się powoli.

Mała jednak, nie zważając na przerwę, trzepała dalej:

— A mówiłam: nie bawić się z kotem! Ale Bronek zawsze mądrzejszy. Kazał mi być cicho, teraz ma za swoje!

— Co więc się stało? — spytała Hanka, chcąc wreszcie przerwać potok słów małej gadulskiej.

Mała zamiast odpowiedzi pociągła ją do przyległego pokoju i ruchem tragicznym wskazała toaletę. Hanka podeszła.

— Skorupy? — zdziwiła się szczerze.

— No, nie poznajesz? To twój flakonik z japońskim bzem (pamiętasz? zawsze w niedzielę pozwalałaś mi skropić nim chusteczkę), a tamto — to lusterko od...

— Wiem już, wiem — przerwała Hanka — i nie widzę powodu do rozwodzenia się nad tem. Zrobisz lepiej, jeśli posprzątasz skorupy. Wiesz, że nie lubię nieporządku — a spoglądając na stojący opodal wazon kryształowy, pomyślała: Mogło być gorzej. Następnie sięgnąwszy z największym spokojem po notes — zanotowała: „Kupić perfum i lusterko“, poczem sięgnęła po książkę.

I po chwili cisza zapanowała zupełna, tylko od czasu do czasu słyszeć się dawał miarowy odgłos kroków i monotonne mruczenie: amo, amas, amat...

Hania o temperamencie sangwinicznym.

„Wszystko mi jedno, moje ulubienie,
Czy mam, czy nie mam pieniędzy
w kieszenie“

nuciła 16-to letnia Hanka, wbiegając w nieokreślono-tanecznych podskokach do pokoju.

— Oooo! — zatrzymała się nagle — a to co?

I zdziwiono-chmurny wzrok rzucając na szczątki lusterka oraz flakonika, skąd sączyły się ostatnie krople perfum — załamała ręce i stała milcząca. Niedługo jednak wytrwała w tej pozie. Po chwili roześmiawszy się, okręciła się na pięcie i rzekła półgłosem:

— No, wyglądam pewnie jak Niobe po stracie swych pociech. — Po chwili zaś dodała:

— Ale coś się tu da jeszcze zrobić. — To mówiąc podbiegła do szafy, otworzyła szufladkę i wyciągnęła może z tuzin chusteczek. Zaniósłszy je na gotowalnię, poczęła niemi lekko ścierać ślady wylanych perfum.

— No, chusteczki mam wonne na miesiąc conajmniej szepnęła. — A i lusterko na coś zdać się musi.

Powiedziawszy to, wyszukała wśród skorup największy i najforemniejszy kawałek i schowała go do torebki.

— Zastąpi mi tamto, zgubione — pomyślała — poczem zbierając resztę sko-

rup, przyśpiewywać zaczęła z zwykłą sobie werwą:

„Kupiłem se pawich piór“.

Hanka o temperamencie melancholijnym.

Hanka stanęła olśniona. Pokój cały tonął w blaskach zachodzących zórz, a poprzez naoścież otwarte okna płynęły z ogrodu wonie jakieś słcdkie, upojne... Było cudnie. Nie dziw też, że Hanka w płaszczu jeszcze, nierozebrana, tak jak weszła, oparła się o parapet okna i zadumana — tęskny wysłała wzrok w rozsłonecznione przestrzenie.

Tak iść, iść tam, w sinawą dal i kąpać się w pokrwawie zórz i chłonąć w siebie ciszę stref i szczęście pić, marzenia snuć — a nocą spływać ku padołom, zorane troską koić czoła i smutnym — rozblask wskazać gwiazd i orłom szczytny wskazać szlak i ciszą być, gdzie srogie boje i pieśnią tam — gdzie pieśni brak, i szczęsną dolą i pokojem i dumą dum, zesłanką gwiazd...

Odgłos kroków z przyległego pokoju zbudził Hankę z marzenia. Nie lubiła, gdy jej przerywano takie chwile, takie „jej“ chwile, to też zerwała się, jak spłoszony ptak, by zdjąć czemprędzej wierzchnie okrycie.

Wtem potknęła się o coś i spojrzenie jej smutne, spojrzenie dziecka, w którem tliły się jeszcze iskierki poprzednich snów, padło na walające się po podłodze skorupy.

— Boże, czyżby? — przeleciała myśl prędka, jak błyskawica i Hanka pochyliła się żywo.

— Rzeczywiście! Flakonik i lusterko strzaskane! — Dwie duże łzy spłynęły po bladej twarzyczce dziewczęcia.

Flakonik — od Tośki, lusterko — od Maryli — wtedy, w dzień rozstania. Takie jej miłe były te pamiątki. I dziś już niema, niema i... nigdy nie będzie. Nigdy — Boże, jak strasznie brzmi ten wyraz! Nigdy, nigdy...

J Budzyńska,
VIII kl. gimn. w Krotoszynie.

Hania — choleryczka.

Hania wraca do swego pokoiku w dobrym humorze, gdy jednak tylko przestąpiła próg, znika jej zadowolenie. Oto w pokoju unosi się silna woń wody kolońskiej. Zaniepokojona tem, rzuca okiem na toaletkę — ach, naturalnie, miła niespodzianka ją czekała! Nowe, przed kilku dniami kupione lusterko, potłuczone na drobne kawałki, a obok szyjka flakonika od wody kolońskiej. Ach! Hania wie, czyja to sprawka, to napewno ta nowa służąca, słusznie od początku nie czuła sympatji do tej dziewczyny. Ale żeby komuś wyrządzić taką przykrość, to zbyt wiele. Nie istnieje dla Hani możliwość przypadku, nieuwagi, taką rzecz można zrobić tylko przez złośliwość. Hania z pasją klęka na podłodze i zbiera dokładnie szczątki potłuczonego lusterka, co do najmniejszego kawałeczka. No! ma już wszystko, teraz najchętniej wyrzuciłaby za okno, ale nie, wie już, co zrobi. Udaje się do kuchni i ostentacyjnie trzymając na dłoni stos szkła, przechodzi obok służącej i rzuca jej spojrzenie wymowniejsze od wszelkich słów. Hania do wieczora jest w takim humorze, że wreszcie mamusia próbuje interwencji. Przedstawia jej, że służąca z pewnością nie zrobiła tego naumyślnie, że gotowa jest wreszcie z własnych oszczędności odkupić Hani lusterko. „Sądzę jednak — kończy mamusia swoją przemowę — że nie pozwolisz, aby biedna dziewczyna pozbawiała się dla ciebie ostatnich kilku złotych“. „O nie, mamusiu — odpowiada Hania — jak sprawiedliwość, to sprawiedliwość, ona wyrządziła mi przykrość, naraziła na stratę, niechże teraz odpokutuje, a będzie na przyszłość uważniejsza“.

Z. Szafrańska,
VIII gimn., Kraków.

Temperament flegmatyczny.

Zwolna otwarła Hania drzwi i nawet nie fatygując się by je zamknąć, leniwym krokiem zmierzała ku pierwszemu krzesłu, żeby sobie odpocząć, zebrać myśli, a raczej żeby o niczem nie myśleć i nic nie robić przez chwilę. Błądząc trochę

bezmyślnym wzrokiem po pokoju, zauważyła nieporządek na toaletce, wylaną wodę kolońską, lusterko na podłodze rozbite w kawałki. Ciężko podniosła się z krzesła i z pewnem zdziwieniem i zastanowieniem przyglądała się katastrofie. Jakieś żywsze uczucie przykrości błysnęło w jej oczach, ale to na krótko. „Ostatecznie — myśli — nic wielkiego się nie stało, taka drobnostka". Nie rozumie, kto mógł to zrobić, ale nie będzie się trudziła dociekaniem, cóż jej z tego przyjdzie? Nie bardzo ma ochotę do posprzątania, no ale przecież pokój powinien jako tako wyglądać, więc szczątki lusterka zbierze i wyrzuci, a tej resztki perfum nawet nie warto oszczędzać, więc również wraz z flaszką usunie.

Hania posprzątawszy pokój, z całym spokojem zaczyna czytać ksiażkę, nie myśląc, a nawet już zapominając o minionym wypadku.

Mira Meduska
VIII. g. Kraków.

Hania — sangwiniczka.

Hania wbiega do pokoju wesoła, uśmiechnięta. Nagle oczom jej przedstawia się smutny widok. Lusterko leży na ziemi zbite, a z przewróconego flakonu cieknie woda kolońska. Hania z okrzykiem. — Ach moje lusterko! — podbiega, stoi chwilę z załamanemi rękoma, a potem leci pędem do matki i woła: — Mamusiu, mamusiu, ktoś był w moim pokoju, pos'rącał mi wszystko z toaletki, potłukł, porozbijał! Ach, co ja zrobię!? — Doprawdy? Któż to mógł zrobić? — No ja nie wiem, nie wiem, może pies — ale co to za śliczne kwiaty? skąd je mamusia ma? — Wujek mi przyniósł. — Wujcio przyszedł? — A gdzie jest? — Po otrzymaniu odpowiedzi wybiega uradowana, zapomniawszy o nieszczęsnym wypadku.

Krysia Donekówna
VII. gim. Kraków.

Melancholiczka.

Hania wraca ze szkoły skupiona, rozmyślając nad dzisiejszemi wydarzeniami; Wchodzi do swego pokoju i widzi istne spustoszenie, sączą się resztki wody kolońskiej, a jej prześliczne lusterko zbite. Kto to mógł zrobić — było pierwszą myślą Hani, kto śmiał coś podobnego uczynić, to z pewnością na złość. Tak, naturalnie, że tylko po to, by mi dokuczyć. Ale ja muszę odnaleść sprawcę, muszę wiedzieć kto to był tak niedobrym. A wiem już, to z pewnością Stach, tak, on to jeden mógł mi to zrobić, on zemścił się, że mu wczoraj książki nie dałam. Tak, to on napewno. I zawsze tylko mi dokuczają, zawsze ja muszę cierpieć. I długoby tak rozmyślała, gdyby w tej chwili nie usłyszała wołania na obiad. A jednak źle jest na świecie i ludzie są bardzo źli, myślała Hania podnosząc się.

L. Chmielewska
VI.I. g. Lublin.

Hania — choleryczka.

Hania jednym susem znalazła się na miejscu katastrofy. Szybko podniosła buteleczkę, w której zostało ledwie parę kropel tych cudownych perfum przywiezionych przez tatusia z Paryża. A oto i szczątki weneckiego lusterka, które stanowiło jedyną ozdobę jej pozatem spartańsko urządzonego pokoju. Gniew na sprawcę wypadku zagłuszył w niej żal za przedmiotem. Wybiegła z pokoju, by odszukać winowajcę. Z drugiego końca korytarza biegł naprzeciw w radosnych podskokach ulubiony psiak dziewczynki. Odtrąciła go nogą brutalnie: „Precz ty..." i nie zwracając uwagi na jego żałosne skomlenia, pobiegła dalej.

Na jej natarczywe pytania, kto to mógł zrobić, nie mogła dać odpowiedzi, ani głucha kucharka, ani jej również głuchy małżonek Czesław.

— Tatusiu, kto był przed chwilą w moim pokoju? — rzekła wchodząc do pokoju ojca.

— Zdaje mi się, że Janek, moje dziecko. Zresztą o co ci chodzi? — rzekł, widząc złowrogi błysk w oczach córki.

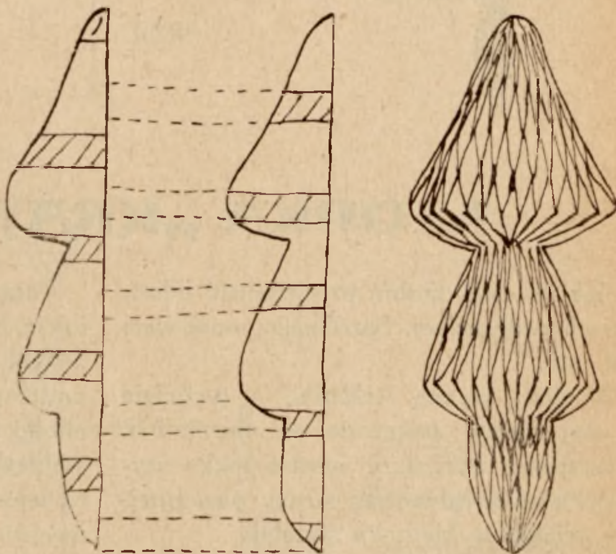
Ale Hani już nie było. Wiedziała, że brat uciekł z domu z obawy przed nią,

i to sprawiło jej ogromną ulgę. Przecież nie będę siedziała wśród tych skorup, przyszło jej na myśl na progu pokoju. Zebrała szczątki dawnej świetności i wytarła podłogę. Wszystko jedno, nie będę robiła awantur temu dzieciakowi i tak miał za swoje, a po chwili, podnosząc główkę do góry, szepnęła z poczuciem własnej wyższości: „Jestem bardzo wspaniałomyślna“.

W. Jakubowska
Lublin VIII g.

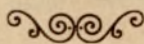


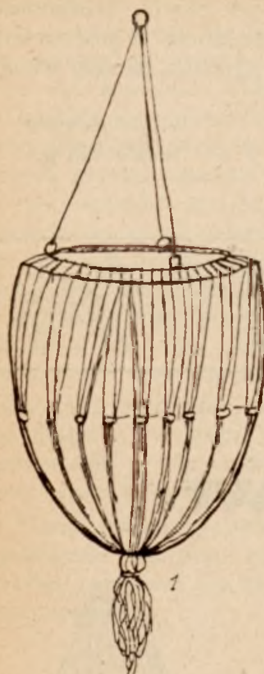
OZDOBY CHOINKOWE.

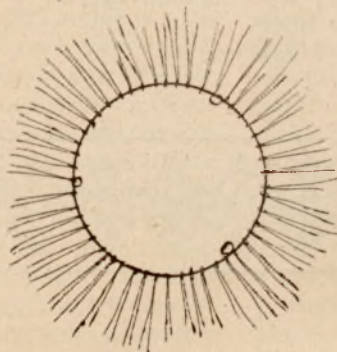


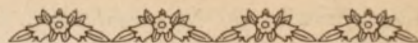
Z cienkiej bibułki możemy zrobić bardzo ładne zabawki. Najpierw wycinamy z tektury kształt jaki chcemy nadać zabawce, formę tę rozcinamy wzdłuż na równe części. Jedną połowę oklejamy najpierw bibułką. Na tę bibułkę naklejamy drugi kawałek, ale nie smarujemy tekturki całej, lecz w równych odległościach w kilku miejscach, tak jak to widzimy na figurce 1. Na tę bibułkę naklejamy drugą tak, by klej był smarowany w tych miejscach, w których poprzednia bibułka nie byla smarowana, tak jak fig. 2. W ten sposób, na przemian, przyklejamy kilkadziesiąt bibułek, a gdy zabawka jest dosyć gruba naklejamy drugą tekturkę. Z boku do obydwuch tekturek przyczepiamy nitki do zawiązania.

Bardzo ładne wychodzą gruszki jeżeli zrobimy z kilku odcieni bibułki. Ażeby zrobić grzybek, każdy kawałek bibułki trzeba skleić tak, by na nóżkę była sama biała, a na kapelusz czerwona lub bronzowa bibułka. Na zabawkę trzeba do 100 kawałków bibułki.



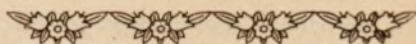






Skorupkę od jajka ucinamy równo z szerszego końca, następnie robimy z drutu kółko mniejsze niż obwód otworu. Na drucie zawiązujemy srebrne nitki dłuższe od skorupki. Kółko z nićmi nakładamy na skorupkę i końce związujemy u dołu.

Nadesłała: *Sidorkówna,* Seminarjum naucz. w Suwałkach.



SZOPKA „KRAJOBRAZ".

Jak to miło zrobić przyjemność młodszemu rodzeństwu. Spróbujcie, może wam się uda.

Weźcie cienką tekturkę i wytnijcie z niej formy, załączone na rys. I. i II. Następnie, naciąwszy bardzo lekko scyzorykiem, z odwrotnej strony pozaginajcie ścianki w kierunku strzałek.

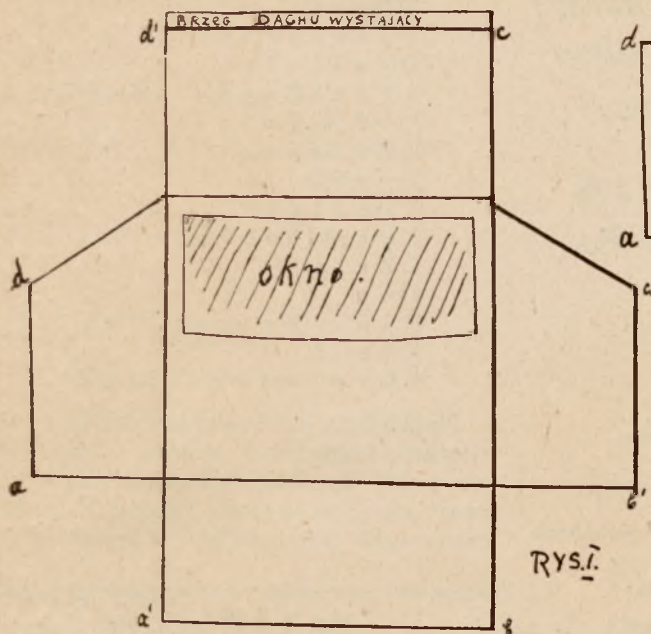
Przednią ściankę (rys. II) wszyć starannie po linjach a d i c b, ale pamiętajcie naprzód wyciąć drzwiczki i odwinąć je nazewnątrz. Okienko takie naprzód wytnijcie i następnie podklejcie ładnym, przeświecającym papierem ciemno-niebieskim.

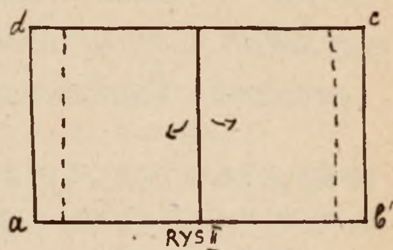
Ale to jeszcze nie koniec. — Teraz zróbcie pudełko wedle wzoru III, wytnijcie okienko i takim samym papierem podlepcie.

Teraz najtrudniejsza rzecz. — Wymalujcie na białej kartce papieru kilka ośnieżonych świerków i przyklejcie wewnątrz pudełka na ścianie „a" tak, żeby wierzchołki niektórych rysowały się na szybce niebieskiej, przedstawiającej niebo (żeby to lepiej się udało, musicie rysunek u góry wyciąć i dopasować dobrze).

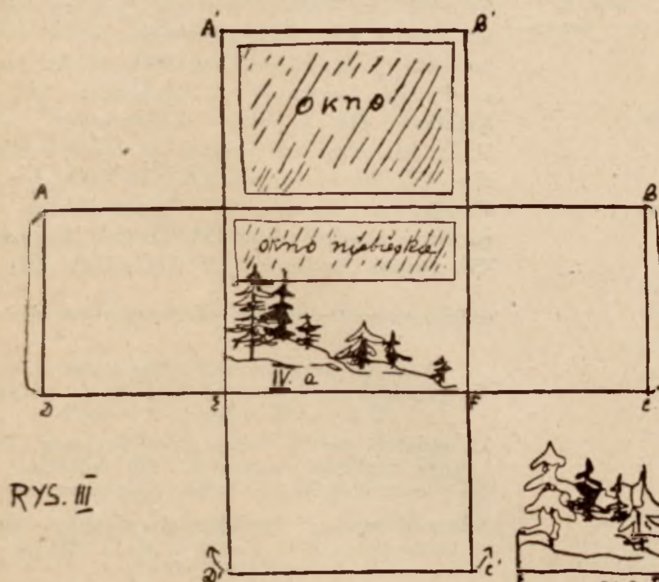
Kiedy już to skończycie, weźcie kawałek waty i cienko rozłóżcie na dnie pudełka. — Posmarujcie lekko białym klejem mącznym i posypcie czystą solą kuchenną i kwasem bornym.

Szopkę także mocno nasmarujcie klejem i obsypcie solą, zwłaszcza dach, na to dajcie kwasu bornego, a potem odrobinę złotego błyszczącego proszku.











Patrz opis na str. 458.

Życzenia Wesołych Świąt! wszystkim Czytelniczkom przesyła Redakcja.

ROZWIĄZANIA ŁAMIGŁÓWEK.

Z NUMERU 16-go:

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

Chociaż nie skończysz, ciągle rób,
Ciebie, nie dzieło, porwie grób.
Chociaż dla czynów krótko nas,
Czas wszystko skończy, bo ma czas.

ŁAMIGŁÓWKA PRZYSŁOWIOWA.

Żeby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała.

✱

Z NUMERU 17-go.

ŁAMIGŁÓWKA DOPISYWANA.

Nie pytaj próżno o przyszłe losy — Nie pytaj!
Lecz otwórz ducha promienne oczy
Na wszystko piękne, co cię otoczy —
W promieniach słońca i w kroplach rosy
Zakwitaj!
(Adam Asnyk).

SZARADA.

Parasolka.

ŻARCIK GEOGRAFICZNY.

San.

✱

Z NUMERU 18-go:

ŁAMIGŁÓWKA.

A	B	R	A	K	A	D	A	B	R	A
b	a	o	b	u	b	a	l	ł	a	b
a	s	h	a	r	ł	n	e	a	d	g
z	i	a	d	a	a	t	x	b	ż	a
y	ł	t	y	r	j	o	o	i	a	t
p	i	y	c	a		n	t	c	p	o
a	c	n	i				a	h	u	r
s	u	a						a	c	j
z	s								i	u
a										m

SZARADA.

Armata.

ZAGADKA.

Tur — kot.

ZADANIE LITERACKIE.

W**R**zos
Szaryp r**O**ch
Devajtis
Stras**Z**nydziadunio
Kw**I**atlotosu
L**E**wwsieci
Hry**W**da
Błęk**I**tni
Jery**C**honka
C**Z**ahary
Ona
Nieos**W**ojoneptaki
Klej**N**ot
L**A**toleśnychludzi

Największą ilość punktów (204) za rozwiązania łamigłówek zebrała **Zosia Topczewska ze Stanisławowa** więc przyznaje się jej w nagrodę książkę T. M. Nittmana: „W cieniu palm i minaretów“.

TREŚĆ Nr. 22.

Warunki prenumeraty „Dziś i Jutro“: Kwartalnie 3 zł., półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 zł. — W Ameryce 2 dolary.

Za dodatek **„Mój Światek“** prenumerujący „Dziś i Jutro“ dopłacają rocznie zł. 3·50, półrocznie zł. 1·80, kwartalnie 90 gr, numer pojedynczy 15 gr.

Adres Redakcji i Administracji: **Kraków, ulica Starowiślna 3.** — Konto P. K. O. 404.930.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.

